Nro 25.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 2 grudnia 1847. Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 20 listopada 1847.

Stroje damskie. Najświeższego kroju suknie są następujące: Suknia atłasowa z gładkim i mocno wyciętym stanikiem, z bardzo małemi rękawami, z podwójną, z angielskiej korunki bertą i z trzema szerokiemi przy spodnicy falbanami. Suknia z ciężkiej materii, z kończastym stanikiem, przystrojonym korunkowemi wyłogami; przód spodnicy także korunkami ubrany. Suknia z prawdziwego *gros de Tour* ze stanikiem *à la Pompadour*; spodnica obszyta trzy razy szerokiemi krepinami, tego co suknia koloru. Z zielonego peplinu suknia, której spodnica ubrana w przodzie szeroką czarną axamitną taśmą i taśmami szmuklerskiemi, poprzecznie na axamicie przyszywanemi i guzami po bokach przypinanemi; stanik mocno pod szyję zachodzący, także axamitem i szmuklerskiemi taśmami ubrany; podwójna pelerynka dochodząca tylko do pasa, zaokrąglona z tyłu, otwarta i czworobocznie ścięta z przodu, wkoło zielonym axamitem obłożona; rękawy długie, gładkie, do pół ręki otwarte, muszlinowe pod spodem rękawki i mankietki korunkowe; różowa atłasowa kapotka, axamitnemi ukosami ubrana; czarny axamitny płaszczyk, krótki i zaokrąglony z tyłu, wykrojony koło ramion, spadający z przodu dwoma spiczastemi końcami, wkoło czarną szeroką korunką obszyty. Czarna atłasowa suknia, z gładką spodnicą i z gładkim stanikiem, wysoko na ramiona zachodzącym, i z przodu otwartym; rękawy gładkie, półdługie, rękawki muszlinowe; gładki korunkowy czepeczek, podniesiony po obu bokach bukietami z fiołków. Z popielatego atłasu redyngocik, wkoło szeroką falbaną obszyty i guzami naszywany, stanik gładki, wysoko zachodzący, z przodu zapięty na guziki; rękawy długie z wyłogami. Axamitny popielaty kapelusz, białym axamitem podszyty i dwoma piórkami ubrany. Suknia z materii koloru malwowego, z gładką spodnicą i gładkim stanikiem, w przodzie otwartym; rękawy długie, gładkie; korunkowy czepeczek z bardzo małem denkiem, z jednej strony ubrany bukietem z róż, a z drugiej szarfą korunkową, na ramiona spadającą.

Stroje męskie. O frakach niewiele teraz jest do mówienia, nie jestto bowiem jeszcze czas karnawałowy, kiedy one najgłówniejszą wygrywają rolę.

Surduty noszą krojem wcale nieprzesadzonym, a można śmiało powiedzieć, że są bardzo eleganckie. Paletoty są teraz środkiem między surdutem a twiną; robią się wąskie, gdy mają być noszone jako surdut, szersze, gdy są użyte miasto twiny lub kabany; kołnierze miewają axamitne a obszywają się taśmą; rękawy nie mają wyłogów; co się tyczy kieszeń, te robią się kilkorakim sposobem; znajdują się w fałdach, lub też po bokach, albo na przodzie.

Kamizelki na dwie strony zapinane są zawsze z upodobaniem noszone; nie przestają robić długich i ukośnie krajanych.

Rycina przedstawia: Suknię z atłasu *à la reine*, fiałkowego koloru, której przednie bryty czarną korunką i wstążką karbowaną ubrane; stanik wysoko zachodzący na ramiona i w przodzie otwarty, i korunką w kształcie wyłogów ubrany; rękawy półdługie; muszlinowy kołnierzyk; okrągły tiulowy czepeczek, wstążkami ubrany.

Płaszcz kaszmirowy, zapinany prosto i dochodzący do pół nogi; kołnierz pelerynowy, z przodu kończasty; wkoło frędzlą i krepinami obszyty; rękawy kryte; szmizetka z bardzo małym kołnierzem; atłasowy kapelusz, axamitem i piórami ubrany.

Strój dziecinny: Zielona axamitna sukienka, z krótką spodniczką, z gładkim, wyciętym stanikiem, rękawy półdługie, otwarte; fartuszek z różowej kitajki, wkoło w zęby wycinany; epolety także wycinane w zęby; kolnierzyk i rękawki muszlinowe.

PAMIĄTKI,

do ***

Błogo jest w twoje zagościwszy ściany,
Odbierać dowód uprzejmości znanej,
I myśl i serce od doli zawistnej
Skryć w ten umniczy świat: gdzie jak z stulistnej
Róży pod naszą dłonią się co chwila
Przeszłość nowemi wdziękami przymila.
I czuć jak oto od każdego listka
Z nową świeżością zawiewa woń wszystka
Tych dni szczęśliwych, gdy nad naszą łąką
Piękniejszym blaskiem przyświecało słonko,
I swym promieniem przelewało w naród
Bujniejsze życie i cnot wielkich zaród,
Które się wkoło rozpleniały żyżnie
Niosąc hołd wzniosły Bogu i ojczyznie.
I tak się długo temi widokami
Poić, aż zniknie obecność przed nami
Jak smug cieniuchny śród słońca jasności,
A cała przeszłość wpłynie do przyszłości:
Więc w takim uczuć i myśli popędzie
Czuć to co było, a żyć w tem co będzie.

A. Bielowski.

XIĘŹNICZKA MERY.

(Dokończenie.)

Przez kilka minut trzymałem wzrok w Grusznicza utkwiony, usiłując odkryć w jego twarzy jakowe ślady żalu lub zawstydzenia; lecz przeciwnie, zdawało mi się, że on z trudnością powstrzymywał śmiech.

— »Radzę ci zmówić pacierz przed śmiercią« rzekłem mu.

— »Nie troskaj się tyle o moję duszę i strzelaj prędko, bardzo proszę.«

— »I nie chcesz odwołać twojej potwarzy, ani mię przeprosić?.... Pomyśl o tem.... upor w złem nikomu nie czyni honoru.... Opamiętaj się.... Czy sumienie twoje nic ci nie mówi?....«

— »Panie Petczorin!« wykrzyknął niecierpliwie kapitan »pozwól powiedzieć sobie, że nie przyszedłeś tutaj, aby nas spowiadać; kończmy już raz; mógłby kto przechodzić tędy i nas wydać.«

— »Bardzo dobrze. Doktorze, chciej się zbliżyć.«

Doktor zbliżył się do nas. Biedny doktor, był on stokroć bledszy niż Grusznicz przed chwilą. Przemówiłem do niego głośno, wyraźnie, powoli, jak się powinno wygłaszać wyrok śmierci:

— »Doktorze, zdaje mi się, że ci panowie, nabijając z pospiechem pistolety, zapomnieli włożyć kulę do mojego; chciej go nabić powtórnie jak się należy.«

— »To niepodobna!« zakrzyczał kapitan »to niepodobna. Nabiłem jednakowo oba pistolety; być może, iż z pańskiego wypadła kula... To nie jest winą niczyją i nie masz pan prawa powtórnego nabijania.... żadnego prawa.... to przeciwko wszelkim regułom.... nie zezwolę na to nigdy....«

— »Bardzo dobrze« rzekłem do kapitana »lecz w takim razie my obaj będziem się strzelać tutaj, natychmiast.«

Te ostatnie słowa zmieszały go i zamilkł. Grusznicz stał z głową pochyloną, z miną posępną i niespokojną.

— »Nie sprzeciwiaj się im« przemówił nakoniec do kapitana, który zabierał się wyrwać pistolet z rąk Wernera »ty o tem sam wiesz dobrze, że oni mają słuszność.«

Nadaremnie kapitan dawał mu znaki, nie spojrzał newet na niego.

Doktor nabiwszy pistolet oddał mi go do rąk.

Kapitan tupnął nogą ze złości, a obracając się do Grusznicza zawołał:

— »Jesteś szaleńcem! Spuściłeś się na mnie, róbże tak jak ci mówię... Zresztą to twoja sprawa... giń sobie jak mucha.«

Odwrócił się mrucząc:

— »To przeciw wszelkim regułom.«

— »Grusznicz!« przemówiłem do niego »odwołaj twoję potwarz, a przebaczę ci wszystko. Nie udało ci się zażartować ze mnie i moja miłość własna jest zadowolona; pomyśl, że byliśmy przyjaciołmi!....«

Twarz jego okryła się żywym rumieńcem, oczy błyszczały.

— »Strzelaj!« odpowiedział mi »gardzę sobą i nienawidzę ciebie; jeżeli mię nie zabijesz, to ja zamorduję ciebie kiedyś w nocy, w jakim ciemnym zaułku. Niema dla nas dwoch miejsca na tej ziemi.«

Pociągnąłem za kurek i strzeliłem nie celując. Skoro dym trochę się rozrzedził, Grusznicza nie było już na skale. Lekka kolumna pyłu wznosiła się nad przepaścią. Wszyscy wydali mimowolny okrzyk zgrozy.

— »Komedia odegrana.« rzekłem do Wernera, który odwrócił się odemnie nic nie mówiąc. Wzruszyłem ramionami i skłoniłem się sekundantom Grusznicza. Zstępując z góry ujrzałem jego skrwawione zwłoki w przepaści wśród kamieni i ostów. Mimowolnie przymknąłem oczu. Odwiązawszy mojego czerkasa, ruszyłem napowrót. Jechałem zwolna; ciężar ogromny tłoczył mi piersi; słońce wydawało mi się ciemne i bez ciepła. Zamiast wracać przez miasteczko, zawróciłem na prawo, puszczając się na los w nieznane mi miejsca. Widok człowieka był mi nieznośny; chciałem być sam; już słońce zachodziło gdy wjechałem do Kislowodska na moim czerkasie, również jak ja znużonym.

Mój służący oddał mi dwa bilety, które Werner nadniósł był sam przed południem; jeden był od niego, drugi od Olgi. W pierwszym wyczytałem te słowa:

»Wszystko ułożyło się jak najlepiej. Zwłoki pokaleczone przyniesiono do domu; kula została już uprzednio wyjęta z piersi; wszyscy myślą, że nieszczęśliwy przypadek spowodował śmierć jego. Komendant tylko sam, któremu wasza sprzeczka jest wiadoma, potrząsł głową w milczeniu. Nie mają żadnego dowodu przeciwko tobie; spij spokojnie.... jeżeli możesz. Bywaj zdrów.«

Długo wahałem się z otwieraniem drugiego biletu.... Coż mogła pisać do mnie Olga? Złowrogie przeczucia ocknęły się w mej duszy. Oto jest ten list, którego każde słowo wyryte niezatartym charakterem w sercu mojem; oto on jest:

»Piszę do ciebie w mocnem przekonaniu, że nigdy już z sobą widzieć się nie będziemy. Prawda, że kilka lat temu, gdym po raz pierwszy rozstawała się z tobą, podobnež miałam przekonanie. Lecz podobało się niebu wystawić mię na powtórną próbę; tej próby wytrzymać nie zdołałam; słabe serce moje posłuchało raz jeszcze tego głosu, który tak mu był znanym. Nie gardź mną z powodu mojej słabości, błagam cię o to. Ten list jest razem i pożegnaniem i spowiedzią; chcę ci wypowiedzieć to wszystko, co się zebrało w mem sercu, odkąd cię ono pokochało! Nie będę obwiniać ciebie; postąpiłeś sobie względem mnie, jakby był postąpił każdy inny mężczyzna; kochałeś mię jako własność swoją; jako źródło roskoszy, niepokojów, cierpień, które następując po sobie odejmują życiu choć cząstkę jego jednostajności i nudów. Przeniknęłam ja to od samego prawie początku naszego poznania, lecz ty byłeś nieszczęśliwy i poświęciłam się tem chętniej, bo miałam wówczas nadzieję, że kiedyś może ty pojmiesz, ocenisz to wszystko, com ja dla ciebie porzuciła, i wielkość tego przywiązania, które ci bez żadnych warunków poświęciłam. Dawno już temu....; wejrzałam głębiej w tajemnice twej duszy i przekonałam się, że nadzieje moje nie miały żadnej podstawy. To odkrycie było dla mnie okropne! lecz miłość moja wzrosła i opanowała całkiem mą duszę, wyganiając z niej wszelkie inne uczucia.«

»Rozstajemy się nazawsze; lecz możesz być o tem przekonany, że nigdy już innego mężczyzny kochać nie będę; ty wyczerpałeś wszystkie skarby mej duszy, wszystkie jej bole, wszystkie nadzieje! Ta, która kochała ciebie, nie może patrzeć na innych mężczyzn jak tylko z pogardą: nie dla tego, abyś ty miał być lepszym od nich, oh! nie! lecz w twojej osobie zawiera się coś szczególnego, co tylko tobie samemu jest właściwe; coś dumnego i tajemniczego; cokolwiek mówisz jest w głosie twoim potęga nieodporna. Nikt niema prawa być kochany z większą stałością. Nigdzie złe nie jest tak powabne, jak w tobie! Niczyje spojrzenie nie przyobiecuje tyle szczęścia, nikt inny nie potrafi tak u wydatnić przymiotów swoich, użyć ich z taką korzyścią! a jednakże ty jesteś tem nieszczęśliwszy, im większe niesłychane czynisz usiłowania do spotkania się ze szczęściem.«

»Teraz muszę cię zawiadomić o przyczynie mojego odjazdu; bezwątpienia wyda ci się ona zbyt błahą, bo mnie wyłącznie się tyczy.«

»Dziś zrana mąż mój wszedł do mojego pokoju i począł mi opowiadać poróżnienie twoje z Gruszniczem. Musiałam bardzo widocznie zmienić się na twarzy, gdyż trzymał on długo wzrok swój we mnie utkwiony; trudno mi było zachować przytomność moją, gdym pomyślała, że ty miałeś się strzelać dzisiaj; a sama myśl, że to ja przyczyną tego, do szaleństwa mię przywodziła. Teraz, gdym nad tem rozważniej pomyśliła, przekonaną jestem, że nie zginiesz; to niepodobna, abyś ty umierał bezemnie! Mój mąż przechadzał się długo po pokoju; nic z tego wszystkiego nie pamiętam, ani co on mówił do mnie, ani com ja mu odpowiadała; bezwątpienia mu-

siałam mu wyznać, że cię kocham! Pamiętam tylko, że przy końcu rozmowy naszej wpadł w gniew gwałtowny, obciążył mię najgrubszemi obelgami i wyszedł wydać rozkaz, aby zaprzęgano konie... Już od trzech godzin stoję w oknie, oczekując na twój powrót... Ale ty żyjesz, pewna jestem tego. To niepodobna, abyś zginął. Już konie czekają.... Bywaj zdrów.... Jestem zgubioną, lecz cóż mię to obchodzi?.... Gdybym mogła być pewną, że pamiętać będziesz o mnie; nie mówię, że będziesz mię kochać... lecz tylko pamiętać o mnie.... Bywaj zdrów, ktoś nadchodzi, muszę ukryć list mój.«

»Ty nie kochasz Mery, nieprawdaż? Słuchaj, powinieneś uczynić dla mnie tę ofiarę; jam wszystko dla ciebie poświęciła!...«

Wybiegłem jak w obłąkaniu, wskoczyłem na mojego wierzchowca, którego odprowadzono do stajni, i pognałem w czwał do Piatyhorska. Bez miłosierdzia bodłem ostrogą dzielnego czerkasa, który mimo utrudzenia i cały pianą okryty, unosił mię jak wicher po kamienistej drodze.

Słońce kryło się za gęsty czarny wał, oparty na górach od zachodu; już było zimno i ciemno w dolinie; Podkumok torując sobie drogę, wpośród skał jęczał ponuro. Pędziłem wciąż bez tchu; myśl, że jej już mogę nie zastać w Piatyhorsku, rozdzierała mi serce. Widzieć ją jeszcze choćby na chwilę, pożegnać ją, uścisnąć dłoń jej.... Modliłem się, przeklinałem, płakałem z wściekłości, śmiałem się jak szalony.... nic nie zdoła wyrazić mojej rospaczy!.... Sama obawa, iż mogę utracić ją na zawsze, uczyniła mi Olgę droższą nad szczęście, nad życie, nad sam honor! Bogu tylko samemu wiadomo, jakie myśli dziwaczne, zapalczywe, krzyżowały się po mej głowie....

Nareszcie począłem zwracać uwagę, że koń mój oddychał z trudnością, już po dwakroć potknął się był na równej drodze, miałem jeszcze sześć wiorst do pierwszej stacii kozaków; gdyby na dziesięć minut sił mu wystarczyło, wszystko jeszcze niestracone.... Lecz nagle przy zakręcie drogi padł wysilony; nadaremnie starałem się podnieść go, tylko jęk zaledwie dosłyszany wymykał się z pod jego zaciśnionych zębów; chwilę poźniej już nie żył; pozostałem sam jeden w stepach, straciwszy moję ostatnią nadzieję; próbowałem iść dalej pieszo, lecz zbolałe nogi, osłabione świeżą raną, chwiały się podemną. Ulegając nakoniec znużeniu po ostatniej bezsennie spędzonej nocy, padłem na wilgotną trawę i począłem płakać jak dziecko.

Długo zostawałem w tym stanie, nie usiłując nawet powstrzymać łez moich i łkania; zdało mi się, że pierś moja pęka od żalu, cała energia moja znikła jako dym; dusza moja utraciła swą siłę, mój zdrowy rozum nie miał żadnej władzy nademną, a gdyby kto był mię ujrzał w tym stanie, ze wzgardą odwróciłby się odemnie.

Gdy wieczorna rosa i wiatry gór ochłodziły nieco moją pałającą głowę, a myśli moje do zwykłego wróciły porządku, pojąłem jak bezpożyteczna i szalona chęć ścigać szczęście, które już nie istniało. Czegoż żądałem? Widzieć ją. A na co? Czyliż wszystko między nami nie było już skończone? Smutny uścisk pożegnania nie o wiele wzbogaci wspomnienia moje, a tem boleśniej przyszłoby nam rozłączać się. Miłe mi było to przekonanie, że mogę jeszcze płakać. Kto wie, może to tylko skutek jakiegoś rozstrojenia w mych nerwach, nocy bezsennej, tej okoliczności, iż przez parę minut stałem naprzeciwko wymierzonej do czoła lufy pistoletu, lub zanadto długo zostawałem naczczo.

Wszystko stało się jak najlepiej; ta nowa boleść uczyniła we mnie dość pomyślne wzburzenie. Zdrowo jest wypłakać się czasem do sytu, a jest rzeczą podobną, że gdybym nie był przecwałował na koniu wiorst z piętnaście, nie był zmuszony ujść drugie tyle pieszo napowrót, jeszcze tej nocy nie zmrużyłbym oka.

Nie wróciłem do Kislowodska jak przed piątą zrana; natychmiast rzuciłem się ubrany na łoże i zasnąłem snem twardym. Gdym się obudził była noc; usiadłem przy oknie, rozpiąłem moją odzież, a wiatr górski ochłodził pierś moją, której nie uspokoił ciężki sen unużenia.

Wszedł Werner. Czoło jego było zachmurzone. W brew zwyczajowi swojemu nie podał mi ręki na powitanie.

— »Zkąd przybywasz, doktorze?«

— »Od xiężnej Sigowskiej; jej córka trochę cierpiąca na nerwy.... Ale tu nie o to chodzi! Komendant coś odgaduje, a chociaż nie wyraził się dotąd stanowczo, zalecam ci baczność. Xiężna powiedziała mi dzisiaj, iż wie, że biłeś się za jej córkę. To ten staruszek, który był świadkiem sprzeczki twojej z Grusznicze m, rozpowiedział jej wszystko. Przyszedłem przestrzedz cię. Bywaj zdrów; może już nigdy nie zobaczymy się więcej; wyszlą cię zapewne do jakiejś fortecy.«

Zatrzymał się na progu drzwi; widziałem to dobrze, że miał ochotę uścisnąć dłoń moję, i że gdybym z mojej strony okazał choćby najmniejszą ku

temu skłonność, byłby mi się rzucił na szyję; lecz pozostałem zimny jak kamień i on wyszedł.

Takimito zwykle są ludzie; widzą oni dobrze wszystkie niebezpieczne strony jakiego czynu; jednakże pomagają ci do niego, radzą ci, przyznają tobie, poczem umywają sobie ręce i odwracają się od tego, który miał śmiałość przyjąć wszystko na odpowiedzialność swoją. Wszyscy w tem do siebie podobni, nawet najlepsi i najmędrsi.

Nazajutrz zrana odebrałem od komendanta rozkaz udania się do twierdzy w N.... Poszedłem do xiężnej z pożegnaniem. Okazała wielkie zadziwienie gdy na te słowa: »Czy pan nie masz nic szczególnego, nic ważnego do powiedzenia mi?« odpowiedziałem z grzecznym ukłonem, iż życzę jej wszelkich pomyślności.

— »Posłuchaj mię, panie Petczorin, zdaje mi się, że masz serce szlachetne.«

Skłoniłem się.

— »Jestem nawet przekonaną o tem« mówiła dalej »jakkolwiek postępowanie twoje mogło wzniecić niejakie wątpliwości, miałeś bezwątpienia powody, które dla mnie są tajemnicą; chciej mi je teraz powierzyć. Broniłeś sprawy mej córki, strzelałeś się dla niej, narażałeś swe życie.... Nie mów pan nic, wiem, że nie zechcesz przyznać się dla tego, że Grusznicz zabity.« Tu przeżegnała się. »Niechaj mu Bóg nie pamięta, jako też i panu!.... Nie śmiem potępiać cię, ponieważ moja córka, jakkolwiek niewinna, była przyczyną waszego poróżnienia. Mery wszystko mi wyznała: wszakże mówiła z tobą otwarcie i miłość jej wiadoma ci.« Tu xiężna westchnęła głęboko. »Moja córka jest chora, panie, i pewna jestem, że choroba jej nie pochodzi ze zwyczajnej przyczyny. Tajemny smutek zabija ją, a chociaż ona tego nie przyznaje, jestem przekonana, że pan należysz trochę do tego. Słuchaj mię, sądzisz może, iż uważać będę w wyborze zięcia na wysoki stopień, wielkie bogactwa; mylisz się, tego wcale nie żądam i pragnę jedynie szczęścia mej córki. Twoje obecne położenie, panie Petczorin, nie jest zbyt świetne, lecz zmienić się może. Posiadasz dość znaczny majątek, moja córka kocha cię, a przez swe wychowanie zdolna jest uszczęśliwić męża. Ja również jestem dość majętna i nie mam dzieci oprócz niej... Mów więc, cóż cię wstrzymywać może?.... Może nie powinnam była mówić ci tego wszystkiego, lecz ufam twej delikatności, honorowi twojemu; pomnij o tem, że mam tylko tę córkę, tę jedyną....« I płakała.

— »Xiężno« rzekłem do niej »niepodobieństwem jest dla mnie odpowiedzić ci pani. Pozwól mi pomówić chwilę z swą córką.«

— »Nigdy!« zawołała powstając w gwałtownem wzruszeniu.

— »Jak się pani podoba« odparłem, zabierając się do wyjścia.

Zastanowiła się przez chwilę, dała mi znak, abym na nią zaczekał i wyszła. Minęło z jakie pięć minut; serce moje biło dość silnie, lecz moje myśli pozostały dość spokojne, głowa zimna i nadaremnie śledziłem w całej mojej istocie jakiej ukrytej iskierki miłości dla powabnej Mery.

Drzwi roztwarły się, ona weszła. O Boże! jakże to mocno zmienić się można w krótkim czasie! Zaledwie kilka kroków postąpiła, ujrzałem ją chwiejącą się; podbiegłem ku niej, ująłem jej ramię i zaprowadziłem ją aż do fotelu. Stanąłem naprzeciwko niej; milczeliśmy oboje. Jej duże czarne oczy, przepełnione niewysłowioną boleścią, zdawały się śledzić w moich jakiego cieniu nadziei; jej wybladłe usta nadaremnie siliły się do uśmiechu, a jej ładne drobne rączki skrzyżowane na kolanach, były tak wychudłe i przejrzyste, iż mię litość zdjęła, patrząc na nią.

— »Xiężniczko!« przemówiłem do niej »widzisz sama, iż zażartowałem z ciebie; powinnaś mną gardzić.«

Chorobliwy rumieniec wystąpił na jej lica.

Mówiłem dalej:

— »A więc niepodobna, abyś mię pani kochała....«

Odwróciła się, oparła o porącz krzesła, przyłożyła dłonie do oczu, w których łzy błyszczały. Wszystko to stawało się nieznośne.... Jeszcze chwila, a byłbym padł przed nią na kolana.... Mówiłem więc dalej tonem tak niewzruszonym, na jaki tylko zdobyć się mogłem, z półukrytym, rozmyślnym uśmiechem:

— »Widzisz więc pani sama, iż związek nasz jest niepodobny; a choćbyś nawet żądać go mogła dzisiaj, wkrótce żałowałabyś tego. Rozmowa, jaką miałem właśnie z matką pani, zniewala mnie do tłumaczenia jej się z całą otwartością.... z całą grubiańską szczerością. Przekonany jestem, że xiężna Sigowska zostaje w błędzie i łatwo pani przyjdzie wyprowadzić ją z tego błędu. Odgrywam w obliczu pani najgłupszą, najhaniebniejszą rolę, uznaję to.... lecz nic innego nie pozostaje mi do czynienia. Jakkolwiek złą opinię możesz pani mieć o mnie, poddaję się jej sądom.... upokarzam się przed panią.... Nieprawdaż, chociażbyś mię kiedyś kochać mogła, byłabyś zmuszoną gardzić mną od tej chwili?....«

Zwracając się ku mnie jak marmur blada, z oczyma błyszczącemi, wyrzekła:

— »Nienawidzę go!«

Podziękowałem jej za to, a oddawszy jej ukłon pełen uszanowania, wyszedłem. Godziną poźniej trzy pocztowe konie unosiły mię z daleka od Kislowodska. O kilka wiorst od Ekcenkoutow ujrzałem trupa mojego biednego wierzchowca; siodło zdjęte było, zapewne przez którego z kozaków, a dwa kruki natomiast usadowiły się na jego grzbiecie. Westchnąłem głęboko i odwróciłem się.... często zapytuję sam siebie, tu w tej nudnej fortecy rozbierając w umysle moim te wszystkie przeszłe już rzeczy, dla czego ja nie chciałem wejść na ścieżkę wskazaną mi od losu, a na której oczekiwały mię bezwątpienia inne roskosze i spokojność umysłu?.... Nie, podobnego przeznaczenia znieśćbym nie mógł. Jestem jako ów majtek, który urodził się na pokładzie statku korsarza i którego dusza wykołysała się wpośród burz i walk; rzucony na brzegi nudzi się i usycha; a nie troskając się o zielone łąki, cieniste gaje i pogodne nieba, spędza życie swe na piasczystem wybrzeżu, przysłuchując się chciwie jednostajnemu mruczeniu fali, zanurzając wzrok tęskny w mgły dalekie. W tej bladawej linii, która przedziela przepaście oceanu od błękitnych obłoków, czyż on nie ujrzy ukazujący się, namiętnie upragniony żagiel, zrazu podobny do białego skrzydła morskiego kuliga, oddzielający się zwolna od pienistych ław morskich i zbliżający do samotnych wybrzeży, w cichym, zawsze jednostajnym biegu.

Koniec xiężniczki Mery, lecz nie pamiętników oficera rosyjskiego.

Kronika literacka.

Dwa są wyrazy dzisiejszej literatury powieściowej polskiej zupełnie od siebie odmienne i inne kierunki przybierające. Na zachodzie krajów języka polskiego powieściarze zaczynają wprowadzać wszystkie warstwy społeczeństwa do powieści. Zawsze, choćby w najdalszej perspektywie, ukazują potężną grę całej społeczności narodowej. Tym sposobem podnoszą i najdrobniejsze postacie najniższych warstw społeczeństwa. Na wschodzie krajów polskiego języka ograniczono się na jednej tylko warstwie społeczeństwa Wprowadzenie warstw rozmaitych uważają niektórzy tam za szkodliwe, osobliwie gdy dotknięte są rozmaite stosunki, gra społeczna między sobą różnych klas narodowych.

Już nawet sam wzgląd artystyczny powinien przekonać, że koniecznie rozmaite klasy społeczeństwa powieść dzisiejsza objąć powinna. Powieść na jednej warstwie ograniczająca się wyczerpała prawie treść swoję, stała się monotonną wiecznie powtarzającą się. Te same charaktery, ta sama intryga, ten sam koloryt nasuwa się we wszystkich powieściach. Tej jednostajności jest już do przesytu. Czują to sami powieściarze stron owych, a niektórzy zaczynają już wchodzić w tor inny. Kraszewski w ostatniej powieści »Ostaw Bondakzczuk« już nawet zakroił na potężną grę społeczną, dotknął się ran towarzyskich. Pseudonym Władysława Syrokomla z talentem w też same puścił się ślady. Michał Grabowski jako środek przeciwko tej jednostajności radzi wprowadzać rozliczność miejscowości, obszernych krajów języka polskiego, zkąd coraz odmienniejsze wzory życia społecznego okazać się mają. Zapewne że i ten ostatni środek byłby silną dźwignią powieści polskiej, tylko inaczej niż Grabowski życie społeczne pojmowaćby trzeba. Życie społeczne stanowi rozmaitą grę między sobą różnych klas społeczeństwa. Powieściarza obowiązkiem jest uidealizować tę grę, tę stronę podchwytywać, z której wyrobienia największa korzyść dla społeczeństwa wypływa. Lecz że gra takowa wpływa i na kształtowanie narodowe społeczeństwa i dźwiganie się coraz silniejsze, więc także ku temu celowi zwróconą chcielibysmy ją widzieć; jedynie takie zadanie jest godne dzisiejszego powieściarza i odpowiedne potrzebom narodu. Michał Grabowski zupełnie co innego pod życiem społecznem i wprowadzeniem tegoż do powieści rozumie. Życiem społecznem u niego, życie domowe, pojedynczych osób klasy jednej, w stosunku do życia domowego innych osób tejże klasy. W rozliczności tego życia domowego, wedle rozmaitych okolic krajów języka polskiego, widzi przyszłość powieści naszej.

I do tego stopnia ignoruje wszelką ważność wprowadzania gry społecznej, że gdzie tylko w przeglądzie krytycznym powieści polskiej umieszczonym w Tygodniku petersburskim spostrzegł ślady podobnej dążności, z góry potępił i talent autora i powieść. A gdzie odkrył opozycią tej dążności, tam mierne talenta czyni jeniuszami. Osobliwe to zapomnienie się pisarza, któryby nie powinien osobistym przekonaniem o tyle dać wziąć górę nad sobą, w chwili gdy przemawia jako sędzia nie opinii lecz talentu pisarzów innych. Zapewne, że sposób zapatrywania się Grabowskiego poniekąd wytlumaszyćby się dał. Społeczność prowincionalna, pośród której żyje Grabowski, stoi obecnie na tych samych posadach

społecznych, na których przed wiekiem istniała cała powszechność polska. Wielkie zachodzą trudności w prowinciach tamtych wyrobienia innych kształtów społecznych. Każda zmiana wydaje się tam niebespieczna, bo może sprowadzić zupełne zniszczenie tych żywiołów, któremi jedynie związane te kraje z przeszłością historyczną. Lecz też Grabowski na to pomnieć powinien, że w krajach zachodnich polskich, inne zupełnie znajdują się stosunki. Dalsza i bliższa przeszłość historyczna tych krajów, zetknięcie z zachodniemi narodami Europy, połączenie polityczne z państwami mającemi inny skład społeczny, inne instytucie wpływają tu przeważnie na rozwijanie się stosunków społecznych, inaczej postacjują społeczeństwo same. Te właściwości wypływające ze stosunków każdej prowincii odbiją się w literaturze; a podczas gdy literatura wschodnich prowincij przedstawia wszystkie dawniejsze nasze historyczne żywioły, życie Polski ośmnastego wieku, literatura prowincij zachodnich, rozwija dalej to życie, wytwarza z niego potrzebniejsze już dzisiaj kształty. Tam chodzi w literaturze o zachowanie tych wszystkich żywiołów, tych wszystkich węzłów, jakie tam zawiązała historia, o podniesienie tej warstwy społeczeństwa, która jedynie przechowała wspomnienia i życie historyczne; tu literatura dąży do zdobycia lepszej przyszłości, do wyrobienia stosunków społecznych, jako jedynej rękojmi przyszłości. Z tego stanowiska, zdaje mi się, powinni wszyscy wychodzić, chcący sądzić literaturę prowincij innych. Tymczasem Grabowski inaczej czyni. Wedle przekonań powziętych z życia otaczającego go sądzi literaturę naszą, nie wchodzi bynajmniej w rozmaite potrzeby rozmaitych krajów. Dla Grabowskiego i autora Listopada zachód europejski ma cywilizacią skrzywioną, bo niema takiej, jaka dla nich wydaje się dobrą w tej chwili na Ukrainie. A że prowincie zachodnie polskie idą w ślad cywilizacii zachodniej, więc zgrozą ich napełniają. To przenoszenie przekonań osobistych w sąd o wszystkich pojawach życia, ta niezdolność przedmiotowego zapatrywania się na literaturę jest właśnie ich niemocą, pochodzącą z braku życia silniejszego w tych prowinciach, pozbawiającą tak utalentowanych ludzi wpływu na naród. Nie pojmują naszego życia i dla tego naszę literaturę albo z pogardliwem lekceważeniem, albo z rodzajem oburzenia traktują. Podchwytują wszelkie śmieszności tego kierunku i dla śmieszności potępiają rzecz całą. Śmieszne było wieczne powtarzanie słowa postęp i postępowy, ogólników niemających żadnego znaczenia wyraźnego; śmieszniejsze jeszcze dzielenie pisarzów na postępowych i niepostępowych. Zapewne, że dla bezmyślności byłoto wygodne słowo, alež dla sprawy samej, śmieszność pojedynczych narości nie jest jedyną miarą. Każdy kierunek ma swoje śmieszności, a najwięcej wtedy, gdy jeszcze w życiu nie wzmógł się, albo już przeżył. Ma więc i kierunek zachodniej literatury polskiej swoje śmieszności i wady, alež ci panowie potępiają lub ignorują i zjawiska, prawdziwą wartość mające.

O tanich drukach i drogich czytelnikach.

Czasy drożyzny wydały pierwsze próby tanich druków. Jakkolwiek te próby są jeszcze drobne, wróżą one przecież najpomyślniej na przyszłość. Zwłaszcza, że w takich prawdziwie praktycznych przedsiębierstwach dość zacząć, aby rzecz sama dalszych zwolenników i przedsiębierców sobie zjednała. I tak zaledwie pierwsze i drugie tanie dziełko wziętość u publiczności znalazło, już xięgarnia pana Kajetana Jabłońskiega poszła za danem hasłem, i pierwsza ze wszystkich xięgarni polskich spis t a n i c h xiążek ogłosiła. Słyszymy także, iż Zakład narodowy im. Ossolińskich, mając świeżo otworzoną drukarnię, zamierza wychodzącym z niej drukom również niską cenę naznaczać, do czego jako zamożny instytut publiczny ma środki. Toteż i nasz dziennik mód, nie należący do najdroższychpism swego rodzaju, zniżył o połowę swą dotychczasową cenę; gdyż przyrzekłszy po tej samej co dotąd cenie wychodzić co tydzień zamiast co dwa tygodnie, uczynił tożsamo, jak gdyby dotychczasowym wychodząc trybem o połowę prenumeratę był zniżył. Tak najszczersze usiłowania ze strony literatury; tak zewsząd tanie druki, ale kiedyż stanieją czytelnicy? Bo dotąd są oni rzeczywiście nader rzadkim, a tem samem drogim towarem. Mówimy tu nie o tych czytelnikach, których na drogie xiążki nie stać, o których liczba za pojawieniem się pierwszych pism tanich nad wszelki spodziw wzrasta, lecz o tych, którym xiążki, literatura, powinne być potrzebą, bez względu czy one tanie czy drogie, o czytelnikach majętnych. Nie chcemy tu wszczynać rozprawy z dotychczasową publicznością. Spółzawodnictwo nowopowstającej publiczności t a n i c h xiążek silniej zapewne niž nasze wyrzekania potrzebę umysłową jej wytłumaczy. My tu jedynie kilka pobieżnych dat do poznania obecnego stanu czytelnictwa w całej Polsce i w naszej poszczególnej prowincii rzucimy. Będzieto maleńka

próbka statystyki umysłowej. W istocie też zastanawiano się już nad statystyką naszych krain pod różnemi względami; czyniono postrzeżenia nad historią naturalną polskich roślin, ptaków, czworonożników, a o krzewieniu i rozrastaniu się czytelnictwa naszego, o rozmaitych stosunkach konsumpcii literackiej w krajach polskich, nigdzie wzmianki nie napotykamy. Nastręczają się zaś dość ciekawe daty w tej mierze. W ogóle postrzega się, iż liczba czytelników przybywa od zachodu ku wschodowi. I tak, wedle przyjętego kalkulu xięgarskiego, rozchodzi się jednego i tegożsamego dzieła w Poznaniu 50 exemplarzy, w Warszawie 100, we Lwowie 150, w Wilnie 300, za granicą 100. Mniejsza geograficzna objętość zachodnich prowincij, jak np. Poznańskiego, w porównaniu z całym wileńskim obszarem czytelnictwa, równoważy się większą na zachodzie ludnością, jakoteż większą masą czytać i pisać umiejących ludzi. Przyczyną zaś tej nierówności zdaje się być łatwiejszy w zachodnich prowinciach przystęp obcego pismiennictwa i przytłumiające ztąd działanie jego na literaturę rodzimą. A jest ten od zachodu ku wschodowi przybywający stosunek tak w ogólności istotnym, że i poszczególna prowincia nasza, rozciągająca się długim pasem od zachodniego pogranicza aż w daleki głąb Polski, też samę proporcią czytelnictwa w uderzający wykazuje sposób. Na dowód tego może posłużyć krótka statystyka prenumerantów samegoż dziennika niniejszego. Liczba tych prenumerantów wzrasta od zachodu ku wschodowi jak 0 : 17. Zachodzi nawet dziwna regularność w stopniowem wzrastaniu tej liczby. I tak podczas gdy na obwód bocheński żaden prenumerant nie przypada, idzie według najściślejszego obliczenia na obwód tarnowski 5, na rzeszowski 8, na przemyski 10, na złoczowski 12, na tarnopolski 17. Lwów z powodu swej stołecznej ludności stanowi wyjątek i ma się swoją liczbą prenumerantów do obwodu tarnowskiego jak 44 do 17. Wszystkie zaś powyżej wymienione główne obwody galicyjskie, lubo dziennik mód miejscowem, dla nich właściwie przeznaczonem jest pismem, nie prenumerują razem na tyle exemplarzy, co samo Wilno z Petersburgiem, dla których dziennik jest na pół obcem pismem. Stosunek prenumerantów owych 6 obwodów do prenumerantów Wilna i Petersburga jest jak 52 do 54. Tak niepochlebne dla Galicii, jako zachodniej części Polski, a mianowicie dla zachodnich obwodów galicyjskich rezultaty wynikają z tej statystyki porównawczej! Jeszcze smutniejsza staje się ta kombinacia, gdy zważymy, że w Galicii jeden exemplarz dziennika na trzydzieści dworów przypada! Dziesięć reńskich sr. wydatku umysłowego na trzydzieści dworów, 20 grajcarów rocznie na jeden dwór! Jesteśmy zapewne dalecy, uważać prenumeratę naszego dziennika za miarę umysłowych potrzeb naszej prowincii. Wszakże dziennik ten jest jedynym oryginalnym beletrycznym organem Galicii, a odbyt jego za granicą, mający się w ogólności do odbytu w kraju jak 100 do 200, świadczy najlepiej, iż pismo to przynajmniej poniekąd przeznaczeniu swojemu odpowiada. Nie wyprowadzamy owszem żadnych z tej smutnej kombinacii wniosków; chcieliśmy tylko, według zamierzenia, podać kilka dat do statystyki umysłowej.

Rozmaitość.

Mikołaj Wężyk, dominikan, kaznodzieja królewski, gdy wiarę Żmudzinom opowiadał w przytomności króla Władysława Jagiełły, wykładał im stworzenie świata. W tem jeden ze znakomitszych obywateli Żmudzi rzekł: »Najjaśniejszy panie! ten człowiek łże bezczelnie; bo starsi daleko od niego, a nawet są u nas i stuletni starcy, którzy nie pamiętają, aby nawet słyszeli o tem, iż świat był kiedy stworzony; ale zawsze przodkowie ich widzieli tożsamo słońce, gwiazdy, wodę i ziemię, a jakże i zkąd on o tem ma wiedzieć?«

Zbigniew Oleśnicki, kardynał, Władysławowi gardzącemu ubogo odzianym, rzekł: »Miłościwy królu! tak w purpurze jak i w pakłaku jedna wełna.«

Jan Sapieha, kanclerz litewski i hetman mawiał do wojska: »Mości panowie! wolałbym widzieć dziesięciu zabitych, niż jednego ukrzywdzonego. Zabijać w bitwie, to prawo wojny, uciemiężać, to łotrów obyczaj.«

Samuel Łaszcz, strażnik koronny, rycerz znakomity, pierwszy wysoko sobie czuprynę ostrzygł, mówiąc: »nic kobiecego, nawet włosów mieć nie chcę.«

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.